

Najwięcej zadziwił go umiejętnie dobrany zbiór szminek tak pierwszorzędnej jakości, że Smith z prawdziwą satysfakcją począł je próbować i charakteryzować się na wszelkie sposoby.

Nagle roześmiał się ze swej gorliwości i złożywszy do pudła porozkładane szminki udał się na oględziny swego bezwłasnowolnie wynajętego mieszkania.

W salonie zaciekał go niesłychanie obfity zbiór zdjęć z najwspanialszych, wyświetlonych w ostatnich latach filmów. Na ścianach wisiały fotografie i portrety sławnych aktorów. Odnalazł tam i siebie i z dzieciństwem zadowoleniem przyglądał się portretowi, napotkanemu w tak niezwykłym i tajemniczym miejscu. Potem począł przerzucać leniwie leżące na stole albumy i pisma filmowe. Palił papierosy, jednego po drugim, trochę się nudził, ale przyznać musiał, że zaintrygowała go i podnieciła sensacyjna przygoda jakiej padł ofiarą.

— Ten reżyser — kręcił głową Edgar — bodaj go. Cóż to za bajeczny temat do filmu. Jak tylko wyrwę się z tej komiecznej niewoli muszę napisać scenariusz. Sądzę, że miałby olbrzymie powodzenie, tembardziej, że byłby moim pamiętnikiem, najprawdziwszym w świecie obrazem osobistych przeżyć.

Ktoś zapukał.

— Wejść! — rzucił Smith.

Wślizgnął się, jak cień chudy Chińczyk zginając się w uprzejmym ukłonie.

— Pan reżyser prosi do atelier.

— Hm — mruknął więzień, ale wstał i poszedł za nim.

Atelier było ogromną, wysoką na parę pięter halą o szklanym dachu. Miało co najmniej 60 metrów długości, a do 40 metrów szerokości. Urządzone było według najbardziej nowoczesnych wymagań techniki filmowej i niczego tam nie brakowało, co tylko w wielkiej i bogatej wytwórni znajdować się powinno. Olbrzymie lampy na parometrowej wysokości wieżyczkach majaczyły w mrokach, jak przedpotopowe potwory. Mniejsze wyglądające z ram stalowych otwierały, jak smoki legendarne swoje — ziewające blaskiem paszcze. Wzdłuż ścian, jak widma czały się szeregi różnokształtnych „juppiterów“, przyrządy do wywoływania wiatru, miotacze sztucznych ogní, miotacze błyskawic, cały skomplikowany aparat filmowej maszyny tłoczył się w głębi rozległego „hangaru“, skąd skrzydlaty geniusz filmu wyruszać miał na swoje zaboczne wloty.

Na hali znajdowało się kilkanaście osób.

Przy małym stoliczku pisał coś naprędce przeraźliwie chudy, niespokojnie ruchliwy blondyn — jak się okazało później sekretarz reżysera.

Operator wysunął z kąta na środek hali swój aparat i majstrował coś przy nim zawzięcie. Pomocnik jego oglądał pod światło zdjęcia.

Jakaś młoda, prześliczna aktorka i jej smukły towarzysz bawili się nawijaniem taśmy filmowej flirtując i chichocząc. W głębi stała cała grupka aktorów, jakieś ośm do dziesięciu osób. Prowadzili ożywioną rozmowę. Gdy Edgar zbliżał się ku nim zauważył, że mieli dość niepewne, zakłopotane miny. Wszyscy oni zostali tu sprowadzeni przemocą i nie znając swoich dalszych losów, nie zdawali sobie jasno sprawy, jak się mają zachować wobec narzuconego sobie reżysera i jakie zająć stanowisko wobec niezwykle gwałtu, jakiego padli ofiarą.

Smith zdaleka już rozpoznawał między nimi Mary Marburg, sławę i ulubienicę stolicy, Oskara Lehnerta tragicznego bruneta o ponurem spojrzeniu i paru innych, znajomych mu osobiście lub z ekranu aktorów.

Poznali go zapewne i oni i byli najwidoczniej zaskoczeni jego widokiem. Ale zanim ich Edgar powitał podszedł ku niemu szybko ów szczupły blondyn i uczynił wielce uprzejmy gest zapraszający.

— Prosimy, prosimy! Pan pozwoli bliżej panie Smith. Jestem Lessner, sekretarz prywatny reżysera. Do usług.

I zwracając się do grupy aktorów.

— Państwo pozwolą. Oto pan Edgar Smith.

Smith skłonił się głęboko.

— Servus Smith — zawołał Teddy Buckingham, młody aktor, dobry znajomy Edgara. — I ty tutaj?

— Jak widzisz — roześmiał się Smith.

— Nie potrzebujesz się przedstawiać tak ceremonijalnie. Znam cię tu wszyscy aż nadto dobrze. Chyba, że... miss Mary, oto pan...

— Ależ Teddy! Co za kiepski dowcip? Pan Edgar już miał sposobność mię poznać. Graliśmy nawet razem, nieprawdaż?...

— Nie inaczej — odparł Smith, podając jej rękę.

Tymczasem sekretarz oddalił się dyskretnie.

— Nareszcie odeszła ta blond małpa i możemy pomówić swobodnie — mówił półgłosem Teddy. — Smith, u licha, może ty nam wytłumaczysz co znaczy ta heca. Porwano nas, skradziono, zdefraudowano w sposób niegrzeczny, co mówię?! beczelny i niema mowy o wydostaniu się z tej klatki.

— Czy ten djabełski reżyser wyjawiał wam swoje plany? — pytał Edgar.

— Ależ naturalnie. Plótł i opowiadał historie z „Tysiąca i jednej nocy“.

— Usypiał was...

— Ho, ho, jeszcze jak. Zahypnotyzował mię odrazu i spałem przez dwa dni jak suszał.

— Nie żartuj, Teddy.

— Nic innego mi nie pozostaje w tej smutnej sytuacji. Zasadniczo wszystko to, co mówił ten awanturniczy „Demon“

jest bardzo piękne. Nie byłbym aktorem filmowym, gdyby mi się nie podobał projekt przemienienia świata w jedną wielką filmową wytwórnię. Ale to są mrzonki i legendy, fantazje zdeklarowanego manjaka, a ja nie mam bynajmniej czasu i ochoty na taką zabawę i na poddawania się mniej lub więcej zajmującym eksperymentom hipnotycznym.

Tu Oskar Lehnert wtrącił się do rozmowy.

— Pozostaje niezaprzeczony fakt, że dostaliśmy się tu pod presją i jako ludzie wolni nie możemy się zgodzić na to bezwarunkowo.

— Ale w ręku tego warjata jest siła — zauważył Smith.

— Wszystko jedno. Będziemy protestować i dążyć do oswobodzenia się.

— To na nic — biadała Mary Marburg. — Śledzą nas, pilnują na każdym kroku. Gdzie się ruszę snują się za mną cienie tych obrzydliwych chińskich drabów.

Teraz zabrał głos Amerykanin, sławny Dick Humberland, który najdłużej tu przebywał:

— Panie i panowie! Ja, jako najwięcej zorientowany w sytuacji radzę zachować spokój, zimną krew i podporządkować się woli tego człowieka. Narazie ucieczka jest wykluczona, siła jest po przeciwnej stronie, a dotychczas przecież nie stało się nic, co by zagrażało naszemu honorowi i życiu. Każą nam grać, będziemy grać, tembardziej, że gdyby ten Brown okazał się istotnie genjuszem stwarzającym dla filmu nowe wartości — obowiązkiem naszym i to nawet miłym obowiązkiem będzie mu dopomóc...

Przerwano dyskusję.

Na salę wszedł Bruno Brown.

Stało się cicho, jak makiem siał, i było tak, jakby jakieś olbrzymie, chłodne tchnienie przepłynęło powietrzem i wszyscy znaleźli się naraz pod jarzmem stalowej woli tego człowieka.

— Witam!

Aktorzy kłaniali się w milczeniu.

— Proszę usiąść...

Jak na komendę ruszyli się wszyscy i zasiedli poważnie w wielkich klubowych fotelach, tworzących w tej części hallu jakby rodzaj salonu klubowego.

— Dziś przystąpimy do pracy... Cel jej i ogólny zarys moich planów przedstawiłem każdemu z pań i panów z osobna. Sądję, że powtarzać nie trzeba. Chodzi teraz tylko o grę, o dobrą, rzetelną, artystyczną grę. Dlatego też wybrałem was panowie i panie tu obecne i sądję, że licząc na wasz genjusz nie omyliłem się i nie zawiodę. Pozwolicie państwo, że przeczytam szkic mojego scenariusza i udzielę koniecznych wyjaśnień.

I oto ubezwładnieni jego potęgą ducha aktorzy nie zdobyli się ani na jeden gest oporu, na jeden szmer protestu przeciw wyrażonej przez niego woli.

Nastąpił fakt zbiorowej sugestji. Wsłuchani, zapatrzeni w szalone, genjalne wizje tego człowieka, porwani treścią dramatu, jaki grać im polecił zatarcali świadomość swej upokarzającej roli więźniów, a fantazja ich snuła się radośnie i gorączkowo około podsuwanych im przez czytany scenariusz obrazów.

Ogarniało ich chorobliwe podniecenie.

Chwytała łakomie powierzone im role, wzywali się sytuacje i nastroje, drapieżnie, pożądlwie wchłaniali w siebie papierowe jeszcze jaźnie bohaterów scenariusza, by w swych doświadczeniach, płonących inteligencją mózgach przetrawić je, przerobić i przeżyć a potem tchnąć w nie swego ducha i zagrać.

Natchniona febra filmowego aktora poniosła ich, jak prąd rozszalałej rzeki.

Talenty zwiły się w groźne kłęby, jak sprężyny.

Czekały chwili, w której z pod zaciśniętej pętli woli świadomego reżysera wyzwoli się eksplozja, namiętny, błyskawiczny odskok w próżnię niesłychanych możliwości.

Drżeli wewnątrz.

Spazm twórczego wzburzenia dławiał im gardło.

...I kiedy przygotowani już i uzbrojeni w kompletną świadomość istoty obrazu, ucharakteryzowani i przerobieni duchowo na obraz i podobieństwo swoich „postaci dramatu“ znaleźli się w polu działania zaczajonych, zakapturzonych aparatów wstąpił w nich ten dobrze im znany dreszcz święty, ten jakiś dziwny, Boży płomień.

Grać...

Stężeli, jak marmurowe posągi. Nerwy stawały na wysokości zadania. Zimny, napięty jak struna spokój, pewność swej przewagi nad duszami przyszłych widzów i mądra wiedza „jakimi być należy“ — oto wszystko.

Resztę do pełni instynkt, talent i długoletnia rutyna.

Reżyser, stojąc na wysokiej trybunie wydawał ostatnie polecenia.

Olbrzymie, dziwacznie malowane dekoracje o brylowatych, kubistycznych kształtach, pchnięte jakby jakąś tytaniczną, niewidzialną siłą przesunęły się i nieruchomiały przed nim, tężąc w wywołanej jego wolą formie. Na ich tle jak małe figurki z brązu — aktorzy.

Operatorzy podjeżdżali bliżej z trójnogami swych aparatów. Mechanicy stali na stanowiskach jak wartownicy przy bateriach lamp i dziwacznych maszyn.

Ale nim przystąpiono do zdjęć, reżyser otworzył metalową kasetę i wyjął z niej dużą, kryształową kulę i wyciągając ramiona przed siebie trzymał ją w palcach prawie na wysokości oczu.

(Ciąg dalszy nastąpi).